

# **Prof. Zbigniew Stawrowski: Aksjologia i duch Konstytucji III Rzeczypospolitej**

Nie jest łatwo jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, kiedy powstała III Rzeczpospolita. Ci, co chcieliby uroczysto świętować jej urodziny, mają poważny kłopoty ze wskazaniem jednego, przełomowego momentu, w którym nastąpiło definitywne zerwanie z poprzednim ustrojem. Czy można się więc dziwić tym, którzy twierdzą, że takiego momentu w ogóle jeszcze nie było, że Polska wciąż niesie na sobie – zarówno w sensie ciągłości prawnej, jak i w wymiarze mentalnym – istotne ślady PRL-owskiego dziedzictwa? – w 25-lecie uchwalenia Konstytucji III RP przypominamy tekst Zbigniewa Stawrowskiego.

## **I. Wprowadzenie. Konstytucja – litera i duch**

Każdy porządek międzyludzki, a w szczególności każdy porządek państwowy oparty jest na pewnych fundamentalnych wartościach. Chcąc odsłonić aksjologiczny horyzont, w którym toczy się życie współczesnego państwa, w naturalny sposób kierujemy uwagę w stronę tekstu jego konstytucji. Konstytucja, oprócz określenia stosunków między obywatelami a władzą publiczną oraz ustalenia kompetencji i wzajemnych relacji poszczególnych władz, pełni jeszcze trzecią, być może najistotniejszą funkcję: „Konstytucja jest także pewnego rodzaju depozytem, który odzwierciedla i chroni wartości, ideały i symbole podzielane przez społeczność. Jest więc odbiciem tej społeczności, istotnym elementem jej samoświadomości, odgrywającym podstawową

rolę w definiowaniu tożsamości narodowej, kulturalnej i aksjologicznej narodu, który ją przyjął.”[1] Te najważniejsze wartości, na których zbudowany jest gmach państwa, zawarte są w konstytucji przede wszystkim w formie katalogu praw podstawowych. Często jednak uroczyste określenie etycznych fundamentów narodu dokonywane jest ponadto w poprzedzającej tekst preambule.

Można by sądzić, że określenie aksjologii Konstytucji RP przyjętej w 1997 roku jest rzeczą stosunkowo prostą. Wystarczy wypisać stosowne deklaracje z preambuły, zanalizować rozdział pierwszy zatytułowany „Rzeczpospolita”, gdzie zgodnie ze standardami konstytucjonalizmu powinny znajdować się zasady naczelną obowiązujące w państwie, wreszcie przedstawić zawarte w rozdziale drugim „Wolności, prawa i obowiązki człowieka i obywatela”.

Treść preambuły, pełna podniosłych zwrotów, takich jak: „prawda, sprawiedliwość, dobro, piękno”. „dobro wspólne”, chrześcijańskie dziedzictwo Narodu”, „poszanowanie wolności i sprawiedliwości”, „zasada pomocniczości”, „obowiązek solidarności”, wydaje się faktycznie wyrażać to, co najistotniejsze i co chętnie uznalibyśmy za etyczne fundamenty naszej wspólnoty[2]. Naturalna ogólność tych sformułowań przemienia się jednak czasem w niepokojąco pustą ogólnikowość, jak choćby w zdaniu: „pomni gorzkich doświadczeń z czasów, gdy podstawowe wolności i prawa były w naszej Ojczyźnie łamane”, w którym nie wiadomo, czy chodzi o okres PRL-u, o okupację hitlerowską, rządy sanacji, czy też może o czasy jeszcze dawniejsze.

Przy lekturze zasadniczego tekstu konstytucji sprawa okazuje się jeszcze bardzo zawiślana. Owszem, bez trudu odnajdziemy w niej te wartości, które w naszym kręgu cywilizacyjnym uznawane są za standard: przede wszystkim odwołanie się do przyrodzonej godności człowieka jako źródła jego wolności i praw oraz następnie ich bujnie rozwinięty katalog. Jeśli dodamy do tego, określenie Rzeczypospolitej Polskiej jako demokratycznego państwa prawnego oraz obecność innych powszechnie akceptowanych atrybutów nowoczesnie rozumianej państwowości (zasada podziału i równowagi władz, sądownictwo konstytucyjne etc.), to ocena, że w tekście konstytucji możemy znaleźć wszystkie elementy dobrze urządzonego państwa, wydaje się ze wszech miar trafna.

Rzecz jednak w tym, że w konstytucji znajdziemy również fragmenty, które mogą budzić zupełnie inne skojarzenia. Rzeczpospolita Polska „ureczywistniająca zasady sprawiedliwości społecznej”, a nie po prostu „sprawiedliwości”, degradacja jednego z elementarnych praw osobistych – prawa własności, przez umieszczenie go w rozdziale zawierającym puste deklaracje przywilejów socjalnych, nieokreślona instytucja Rzecznika Praw Dziecka pomyślana polemicznie w stosunku do prawa rodziców i wiele, wiele innych przykładów podnoszonych w debacie konstytucyjnej - to wszystko pokazuje, jak ważne są „okulary”, przy pomocy których odczytujemy tekst ustawy zasadniczej. W zależności bowiem od tego, na co się zwraca uwagę a co pomija jako mało istotne, można w niej dostrzec wyraz bardzo różniących się wizji państwa i rozmaitych systemów wartości. Przyznaje to zresztą jeden z głównych ekspertów Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego prof. Piotr Winczorek: „Konstytucja RP z 1997 roku nie jest więc, bo z natury rzeczy nie może być, aksjologicznie neutralna. Co więcej, jest pod tym względem wielobarwna, wielowątkowa, a można

nawet powiedzieć, że aksjologicznie niespójna. Nie wchodząc w detale, da się w niej wyróżnić wątki narodowo-chrześcijańskie, chrześcijańsko-demokratyczne, liberalne i socjaldemokratyczne. Jest to, a w większym stopniu było, powodem jej krytyki ze strony ideowych integrystów różnych obediencji, którzy chcieliby nadać Konstytucji RP jednolite (sobie miłe) zabarwienie ideowe.”[3]

To, że konstytucja nie może być aksjologicznie neutralna, jest rzeczą oczywistą. Jest jednak również oczywiste, że jeśli ma ona jednoczyć a nie anarchizować wspólnotę, musi zawierać – przynajmniej w tym, co najważniejsze – jedną spójną wizję państwa. I faktycznie ją zawiera. Zarówno „promotorzy” (politycy), jak i „architekci” (eksperci konstytucyjni) Konstytucji RP z 1997 roku zgodnie podnoszą, że aksjologiczny pluralizm nie stanowi jej wady, lecz – przeciwnie – ogromną zaletę, ponieważ w różnobarwnej paletce zapisanych w niej systemów wartości wyraża się jedna nadrzędna wartość, która zasługuje na naszą bezwarunkową aprobatę. Tą wartością jest duch kompromisu[4]. Mimo, iż słowo „kompromis” w samym tekście nie pojawia się ani razu, trudno zaprzeczyć, że duch kompromisu przenika Konstytucję III RP na wskroś. Na czym jednak polega istota kompromisu, a w szczególności tego konstytucyjnego kompromisu? Jaka jest jego wartość i jego sens?

Analiza samego tekstu konstytucji może być wprawdzie interesującym zajęciem intelektualnym, ale z pewnością nie wystarcza do tego, by w pełni odsłonić to, co się w konstytucji kryje. Czym innym bowiem jest litera konstytucji, czym innym zaś jej duch. Uchwycenie i opisanie ducha konstytucji wymaga znacznie szerszego spojrzenia. Proces pisania i uchwalania ustawy zasadniczej jest przecież tylko pewnym

etapem życia wspólnoty politycznej, która posiada konkretną tożsamość i konkretną historię. Żaden tekst konstytucji nie jest zrozumiały bez jego dziejowego, kulturowego i politycznego kontekstu.

Bywają sytuacje, kiedy ustawa zasadnicza wcale nie służy do opisanego porządku obowiązującego w danym państwie, ale wręcz do ukrycia rzeczywistych mechanizmów, które nim rządzą. Warto pamiętać o takich przypadkach, jak konstytucja ZSSR z 1936 roku oraz jej późniejsze środkowoeuropejskie „klony”, w których zapisy konstytucyjne nie miały nic wspólnego z faktycznym kształtem porządku państwowego. Ten stan rzeczy celnie puentował dowcip z czasów PRL-u: „jej konstytucja była w znakomitym stanie, bo prawie nigdy nie używana”.

Oczywiście, znajomość kontekstu przydaje się także w sytuacjach bardziej normalnych. Na przykład tekst konstytucji Stanów Zjednoczonych nabiera pełniejszego znaczenia, gdy podczas jego lektury mamy świadomość, że kryją się w nim dwa – nomen omen – kompromisy: pierwszy, słusznie nazywany przez historyków wielkim, który pogodził sprzeczne na pozór żądania małych i wielkich liczebnie stanów, wprowadzając dwie odmienne ordynacje wyborcze do Kongresu i do Senatu, oraz drugi – zachowujący niewolnictwo i uznający Murzynów za trzy piąte człowieka, który należałoby nazwać „zgniłym”. Ten ostatni kompromis tkwił przez prawie osiemdziesiąt lat jak ropiejący wrzód w organizmie Stanów Zjednoczonych, a próba jego usunięcia – ostatecznie udana – doprowadziła niemal do rozpadu państwa, do wojny domowej i hekatombi ofiar.

Jeśli więc chcemy odsłonić głębszy sens uchwalonej w Polsce konstytucji, nie powinniśmy analizować jej tak, jakby był to dokument powstały w wyniku akademickich debat ekspertów, którzy sine ira et studio opracowywali jej tekst, dbając o zachowanie najwyższych standardów współczesnego konstytucjonalizmu. W procesie jej tworzenia takie eksperckie debaty miały oczywiście również swoje miejsce i swoje znaczenie, ale nie one odegrały rolę decydującą. O wiele ważniejszy był cały kontekst jej powstawania. Proces ten dokonywał się w konkretnym momencie historycznym i w konkretnej wspólnocie: w Polsce końca XX wieku, w której wraz z ruchem Solidarności rozpoczął się rozkład komunistycznego imperium – najbardziej nieludzkiego i najbardziej zakłamanego systemu, jaki człowiek stworzył w dziejach. Chodziło o konstytucję dla państwa, które potrafiło wybić się na niepodległość i suwerenność, ale poprzez ludzkie losy oraz istniejące instytucje wciąż pozostawało powiązane tysiącami nici z podległą i niesuwerenną przeszłością.

Przypomnijmy najpierw pokrótce historię kształtowania się ustroju III Rzeczypospolitej, począwszy od roku 1989 po uchwalenie w 1997 roku jej konstytucji, aby następnie – na tym tle – podjąć próbę opisania ducha, który ten proces przenikał i odegrał w nim decydującą rolę.

## **II. Kontekst historyczny**

Przemiany ustrojowe w Polsce po 1989 roku, poręcznie jest podzielić na cztery etapy wyznaczone kolejnymi kadencjami Parlamentu.

Pierwszy wstępny etap tych przemian rozpoczął się na początku 1989 r. wraz z obradami Okrągłego Stołu. Wówczas w Polsce obowiązywała „stalinowska” konstytucja z 1952 roku – obowiązywała oczywiście formalnie, ponieważ stanowiła ona jedynie pełną frazesów propagandową fasadę dla rzeczywistej i nieograniczonej władzy partii komunistycznej. Jednak w wyniku porozumienia opozycji z władzą w 1989 roku i zgody na ewolucyjny a nie rewolucyjny charakter zmian ustrojowych, zmiany te miały się dokonywać w ramach i zgodnie z procedurami określonymi przez tę właśnie „stalinowską” konstytucję. W ten sposób nabrała ona nieoczekiwane rzeczywiste znaczenie, stając się uznanym przez obie strony fundamentem tworzonego nowego porządku ustrojowego.

W wyniku ustaleń Okrągłego Stołu komunistyczny Sejm w kwietniu 1989 roku przyjął ustawy zmieniające konstytucję, które bardziej niż projektowanie nowego porządku miały na celu zagwarantowanie politycznych interesów obu stron. Wprowadzono instytucję Prezydenta wybieranego przez Zgromadzenie Narodowe, (obdarzonego prawem weta ustawodawczego i mocą rozwiązywania Sejmu, gdy ten „uniemożliwi Prezydentowi wykonywanie jego konstytucyjnych obowiązków”) – w intencjach komunistów miał nim zostać gen. Jaruzelski; oraz jako rekompensatę dla strony solidarnościowej – demokratycznie wybierany Senat, pozbawiony zresztą istotniejszych kompetencji. Zarządzone zostały również „nie konfrontacyjne” wybory do Sejmu, gdzie tylko 1/3 obsadzona być miała w wyniku wolnych wyborów, zaś 2/3 przypadało partii komunistycznej i jej satelitom. Zgodnie z porozumieniem Okrągłego Stołu tak wybrany Parlament miał następnie przygotować nową konstytucję i nową, już w pełni demokratyczną ordynację wyborczą do Sejmu.

Drugi etap ustrojowych przemian w Polsce związany jest z działalnością owego „kontraktowego” Parlamentu, wybranego w czerwcu 1989 r.

W grudniu tegoż roku uchwalił on nowelizację konstytucji: przywrócono nazwę państwa „Rzeczpospolita Polska”, orzeł w herbie odzyskał koronę zniknęły również ideologiczne sformułowania o sojuszu z ZSRR i przewodniej roli PZPR. Przede wszystkim jednak zmieniono art. 1, który odtąd głosił, że Polska jest „demokratycznym państwem prawa urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”. W oparciu o ten właśnie, uznany za nadrzędny, pierwszy artykuł i pomijając pozostałe artykuły z wciąż obowiązującej konstytucji z 1952 r. Trybunał Konstytucyjny oraz Sąd Najwyższy swoimi orzeczeniami zaczęły niezwykle skutecznie współtworzyć porządek prawny nowego państwa.

Również w grudniu 1989 r. powstały dwie komisje konstytucyjne, których prace nie były skoordynowane ze sobą a wręcz antagonistyczne. Wprawdzie, zgodnie z obowiązującą konstytucją, jej zmiany miał dokonać Sejm, a Senat pełnić jedynie rolę korygującą, to jednak natychmiast podniesiona została kwestia legitymacji kontraktowego przecież Sejmu do sprawowania roli Konstytuanty. Obie komisje do końca kadencji przygotowały jedynie projekty, różniące się zresztą zasadniczo.

We wrześniu 1990 r. Sejm znoveelizował konstytucję, wprowadzając zasadę wyboru prezydenta w głosowaniu powszechnym. W grudniu tegoż roku został nim Lech Wałęsa.

Trzeci etap to działalność już w pełni demokratycznego Sejmu RP I kadencji wybranego w październiku 1991. Prace nad konstytucją nie były priorytetem tego Sejmu. Jego działalność sprowadzała się w dużej mierze - nie tylko zresztą w tej kwestii - do reagowania na inicjatywy Prezydenta Wałęsy, który dążył do wprowadzenie systemu prezydenckiego. Sejm ów uchwalił jednak dwa ważne akty prawne, przede wszystkim: „Ustawę konstytucyjną o wzajemnych stosunkach między władzą ustawodawczą i wykonawczą RP oraz o samorządzie terytorialnym”, czyli tzw. Małą Konstytucję, która weszła w życie w październiku 1992. Wprowadzony przez nią rozdział kompetencji między Prezydenta i Rząd okazał się wszakże na tyle nieprecyzyjny, że otworzył drogę do nieustannych między nimi konfliktów.

W perspektywie ostatecznego uchwalenia konstytucji najistotniejsze było przyjęcie w kwietniu 1992 r. „Ustawy Konstytucyjnej o trybie przygotowywania i uchwalenia Konstytucji”, zgodnie z którą:

- powołano Komisję Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego[5], która miała opracować stosowny jednolity projekt;
- przyjęcia projektu miało dokonać Zgromadzenie Narodowe większością 2/3 głosów;
- przyjęty projekt miał być następnie zatwierdzony w referendum zwykłą większością głosów.

Sprawujące wówczas rządy ugrupowania solidarnościowe nie odczuwały już takiej potrzeby pośpiechu, jaką w poprzednim okresie rozbudzała w nich – płonna, jak się szybko okazało – nadzieja na przyjęcie nowej ustawy zasadniczej w okrugłą rocznicę Konstytucji 3 maja. Komisja Konstytucyjna powstała więc dopiero pół roku po wejściu w życie ustawy, tj. 30 października 1992 r. Następnie minęło kolejne 6 miesięcy, przeznaczonych – zgodnie z ustawą – na zgłaszanie projektów konstytucji przez uprawnione do tego podmioty. Do 30 kwietnia 1993 roku wpłynęło 7 projektów. Jednak już miesiąc później

wszelkie prace w Komisji zamarły, ponieważ Sejm przegłosował wotum nieufności dla rządu[6], a Prezydent Wałęsa rozpisał nowe wybory. Konstytucja jako łup miała wpaść w ręce ich zwycięzców.

Etap czwarty, który zakończył się uchwaleniem nowej konstytucji, to okres urzędowania Parlamentu wybranego we wrześniu 1993 r. Został on zdominowany przez ugrupowania postkomunistyczne. Oddano na nie prawie 36% głosów (SLD–20,4%, PSL-15,4%) co w wyniku nowej, premiującej silne partie ordynacji wyborczej przełożyło się na niemal 66% (SLD-37,2%, PSL-28,7) mandatów. Ze względu na rozdrobnienie pozostałych ugrupowań 1/3 ważnie oddanych głosów nie znalazło swojej reprezentacji w Sejmie!

Sejm wybrany w 1993 roku w swej strukturze przypominał niemal dokładnie Sejm „kontraktowy” z roku 1989. I w jednym i w drugim 2/3 miejsc zajmowali ludzie związani tak czy owak z PRL-owskim establishmentem. Różnica polegała na tym, że tym razem dokonało się to w pełni demokratycznych wyborach. Co więcej, proporcje mandatów w Senacie były dla ugrupowań solidarnościowych jeszcze gorsze (dla SLD i PSL - 75%). Oznaczało to, że w nowym Zgromadzeniu Narodowym uda się bez większego trudu zmobilizować wymaganą większość 2/3 niezbędną dla przyjęcia konstytucji, tym bardziej, że można było liczyć również na konstruktywną postawę dwóch partii wywodzących się z solidarnościowej opozycji: Unii Wolności i Unii Pracy. Istotnym problemem pozostawał jedynie wynik referendum.

Szef Sojuszu Lewicy Demokratycznej Aleksander Kwaśniewski otwierając się szansy nie zmarnował. Uznając uchwalenie konstytucji za absolutny priorytet sam stanął na czele nowej Komisji

Konstytucyjnej i przez dwa lata nadawał jej pracom odpowiednie tempo, by następnie, już jako Prezydent RP, doprowadzić swoje dzieło do końca.

Jednolity projekt został zaakceptowany przez Komisję Konstytucyjną w styczniu 1997 roku. Zgromadzenie Narodowe przyjęło ostatecznie Konstytucję RP 2 kwietnia, głosowało za nią 451 za tj. ponad 90% (przeciw było 40 tj. 8%, wstrzymało się 6 – wymagana większość 2/3 wynosiła 332 głosy).

25 maja odbyło się referendum konstytucyjne, w którym wzięło udział 42,86% uprawnionych do głosowania. Za przyjęciem Konstytucji głosowało 52,71%, przeciw 45,89 %[7].

Po podpisaniu przez Prezydenta Konstytucja weszła w życie 17 października 1997 roku.

### **III. Duch Konstytucji III RP**

#### **1. Konstytucja Okrągłego Stołu**

Jak widać z powyższej „powtórki z historii”, nie jest łatwo jednoznacznie odpowiedzieć na pytanie, kiedy powstała III Rzeczpospolita. Ci, co chcieliby uroczyście świętować jej urodziny, mają poważny kłopoty ze wskazaniem jednego, przełomowego momentu, w którym nastąpiło definitywne zerwanie z poprzednim ustrojem. Czy można się więc dziwić tym, którzy twierdzą, że takiego momentu w

ogóle jeszcze nie było, że Polska wciąż niesie na sobie – zarówno w sensie ciągłości prawnej, jak i w wymiarze mentalnym – istotne ślady PRL-owskiego dziedzictwa? Tym bardziej, że gdyby poszukać kluczowego wydarzenia, które w największym stopniu wyznaczyło i do dziś wyznacza filozofię naszego państwa, to musielibyśmy wymienić coś, co należy jeszcze do „poprzedniej epoki”. Zasadnicze zręby ustroju III RP określone zostały w czasie negocjacji symbolicznie kojarzonych z Okrągłym Stołem, zaś późniejsze akty prawne wprowadzały do niego tylko kolejne korektury i poprawki. Ustrój ten znalazł swoje ostateczne zwieńczenie i utrwalenie w Konstytucji z 1997 roku, którą z tego względu jej przeciwnicy nazywali nie bez racji Konstytucją Okrągłego Stołu[8], albo jeszcze dosadniej: Konstytucją „grubej kreski”[9].

Porozumienia Okrągłego Stołu miały jednak nie tylko swoje polityczne i instytucjonalne konsekwencje. W sposób decydujący ukształtowały również „ducha” III Rzeczypospolitej – etyczną przestrzeń, w której miało toczyć się życie naszej wspólnoty. Istotą tych porozumień – wówczas oczywistą dla wszystkich, choć w publicznych wystąpieniach skrętnie pomijaną – była głęboka niewspółmierność obu układających się stron; niewspółmierność zarówno, co do posiadanych sił, jak i, przede wszystkim, co do zamierzonych celów. Oficjalne wypowiedzi o wspólnej trosce o dobro Polski skrywały całkiem odmienne motywacje.

Ekipa rządząca w końcu lat 80-tych PRL-em już od dawna nie miała złudzeń, co do wyższości demokracji i gospodarki rynkowej nad systemem komunistycznym. Co więcej, była również świadoma, że system ten osiąga właśnie swój kres. Przystępując do rozmów z solidarnościową opozycją chciała tak pokierować transformacją ustrojową, by dokonało się to dla niej możliwie bezboleśnie i by mogła

zapewnić sobie jak najlepszą pozycję startową w nowo kształtującym się porządku. Nie miała przy tym żadnych oporów z akceptacją zasady, że o tym, kto sprawuje władzę powinny decydować demokratyczne wybory. Negocjując z „pozycji siły” i dbając o własne interesy, nie omieszkała wszakże zatroszczyć się o czasowe odsunięcie tych wyborów, podsuwając w ich miejsce pomysł „Sejmu kontraktowego”.

Komunistyczna władza stała jednak przed problemem o wiele poważniejszym. Otóż, rysujący się w bliskiej już perspektywie nowy ustrój – demokratyczne państwo prawa, miał się opierać nie tylko na demokratycznych procedurach wyborczych, ale na jeszcze jednej fundamentalnej zasadzie, której nie sposób było otwarcie odrzucić. Podstawową zasadą i wartością państwa prawa jest bowiem sprawiedliwość. Uwzględnienie wymogów sprawiedliwości i oddanie tego, co się słusznie należy funkcjonariuszom systemu, który nie dość, że był zbrodniczy, to jeszcze realizował interesy obcego mocarstwa, musiało dla rządców PRL-u oznaczać katastrofę – odpowiedzialność karną dla sprawców przestępstw, dla pozostałych przynajmniej publiczną infamię. Toteż ich akceptacja państwa prawa mogła być jedynie werbalna, ograniczona i wybiórcza. Wprawdzie później chętnie korzystali z jego instrumentów, gdy leżało to w ich interesie, ale jednocześnie bardzo dbali o to, by działalność powstających instytucji państwa prawa nie pociągnęła za sobą dotkliwych dla nich konsekwencji.

Propozycja negocjacji, którą władza złożyła opozycji, okazała się politycznym majstersztykiem. Nie tylko zapobiegła rewolucji – co, jak pokazał późniejszy przebieg wypadów w sąsiednich państwach, było całkiem realnym scenariuszem – ale ponadto stanowiła pierwszy krok do moralnej i politycznej legitymizacji ludzi starego systemu. Władza

wyciągając rękę do przedstawicieli społeczeństwa zdawała się wykazywać cechy w dotychczasowym systemie niewyobrażalne – dobrą wolę i troskę o dobro Polski. Strona solidarnościowa z kolei, przystępując do rozmów, przyjmowała tę propozycję, chcąc nie chcąc, za dobrą monetę i zgadzała się tym samym publicznie uznać swoich dotychczasowych przeciwników za godnych siebie, tzn. pełnych dobrej woli partnerów. Z tego względu kwestia odpowiedzialności władzy za zbrodniczą przeszłość została przez opozycję w czasie negocjacji po prostu wzięta w nawias i przemilczana. Milcząca zasada przemilczania przeszłości nie była żadnym wynegocjowanym ustaleniem rodem z Okrągłego Stołu czy z Magdalenki, ale koniecznym warunkiem, aby negocjacje polityczne mogły w ogóle dojść do skutku. Strona solidarnościowa, co zrozumiałe, gotowa była jej przestrzegać także później, dopóki istniała realna siła, która na próbę sprawiedliwego rozliczenia przeszłości odpowiedzieć mogła przemocą. To, dlaczego czuła się nadal nią zobowiązana nie tylko po samorozwiązaniu PZPR, nie tylko po usunięciu komunistycznych ministrów MON i MSW w lipcu 1990 r., ale nawet po rozpadzie ZSSR w lipcu 1991 r., jest już o wiele mniej oczywiste. W ewidentny sposób musiały działać tu dodatkowe czynniki.

Niezbędnym warunkiem przestrzegania zasady przemilczania przeszłości było zabezpieczenie się przez postkomunistów przed tym, by przeszłość sama nie zaczęła przemawiać. Okres przejściowy, lata 1989-1990 to dla komunistycznego aparatu przede wszystkim czas niszczenia dokumentów świadczących jednoznacznie o istocie PRL-u i przestępczych działaniach jej funkcjonariuszy. Milcząca zgoda na ten proceder, to największe zaniedbanie ludzi Solidarności. W rezultacie tego procederu, który sam miał charakter przestępczy i stanowił gwałt na istocie państwa prawa, pierwsze nieśmiałe próby ścigania dawnych

przestępstw i zbrodni, mogły być skutecznie blokowane w powołaniu się na państwo prawa i jedną z jego zasad – zasadę domniemania niewinności.

Sprawnemu usuwaniu przez dawnych komunistów materialnych dowodów niechlubnej przeszłości, towarzyszyło jednocześnie pozytywne budowanie ich nowego image'u. Zgoda na powołanie rządu z niekomunistycznym premierem na czele w sierpniu 1989 r., sugerowała, że są zdolni dotrzymać porozumień, nawet wtedy, gdy nie wszystko toczy się po ich myśli. Odtąd jako ci, dla których pacta sunt servanda, mogli już być przedstawiani jako „ludzie honoru”.

Kolejny akt transformacji środowiska PRL-owskiego establishmentu w pełnoprawnych obywateli III RP miał miejsce 30 stycznia roku 1990, kiedy komuniści nagle zniknęli a w ich miejsce pojawili się socjaldemokraci. Transformacja ta nie była zresztą zbyt trudna, zważywszy na kompletną bezideowość całego towarzystwa, dla którego liczyła się przede wszystkim władza[10] oraz związane z nią profity, zaś elementy komunistycznej liturgii od dawna stanowiły już tylko pustą fasadę.

Trzeba zresztą przyznać, że dawni komuniści, odkąd wyprowadzili sztandar PZPR i wraz z nim symbolicznie pogrzebali swoją przeszłość, stali się naprawdę oddanymi demokratami. Ich późniejsza zgoda na konstytucyjny zakaz działalności partii odwołujących się do totalitarnych metod i praktyk, w tym partii komunistycznej, była z pewnością jak najbardziej szczerą. Nowa rzeczywistość stwarzała dla nich nowe, o wiele bardziej atrakcyjne niż dostępne w przasznych czasach PRL-u możliwości i szanse działania, zaś nabyte w poprzednim

systemie doświadczenia i wciąż istniejące formalne i nieformalne powiązania dawały w punkcie wyjścia istotną przewagę. Wciąż jednak tliła się niepewność, czy kompromis Okrągłego Stołu, ustalający wspólne zasady politycznej rywalizacji oraz legitymizujący obie układające się strony jako równorzędnych uczestników demokratycznej gry, nie zostanie nagle – w imię sprawiedliwości – zakwestionowany. Widomym znakiem obaw żywionych przez środowisko świeżo upieczonych socjaldemokratów była ich początkowa powściągliwość i słuszne skądinąd przekonanie, że w życiu politycznym „mniej im wolno”. Ta ich powściągliwość w połączeniu z postępującą dekompozycją obozu solidarności, którego wewnętrzne podziały i publicznie rozgrywane konflikty, zdawały się pokazywać, że jego przedstawiciele wcale nie są moralnie lepsi od komunistów, była, być może, najważniejszym źródłem triumfu SLD w wyborach 1993 r.

Strona solidarnościowa przystępowała do rozmów przy Okrągłym Stole z pełną świadomością, że negocjuje z „pistoletem przyłożonym do głowy”. Uznała wtedy, że – właśnie dla dobra Polski – musi iść nie tylko na polityczny, ale i na moralny kompromis i przez pewien czas nie wszystkie zło poprzedniej epoki nazywać po imieniu. Moralne kompromisy mają jednak swoje konsekwencje, ponieważ wszelkie ustalenia – w tym także te nie do końca wyartykułowane – z samej swej natury nabierają cech stałości. Gdyby elity solidarnościowe potrafiły – choćby nawet tylko we własnym gronie – precyzyjnie określić istotę zawieranego wówczas kompromisu, dzisiejsza Polska wyglądałaby zapewne inaczej. Sens jedyne go dopuszczalnego kompromisu, tzn. takiego, który dawał się moralnie usprawiedliwić, należało wyrazić mniej więcej tak: Zgadzamy się wprawdzie rozmawiać pod przymusem i z tego względu czasowo ograniczyć żądania sprawiedliwego rozliczenia przeszłości, ale tylko po to, aby uczynić pierwszy krok w kierunku budowy sprawiedliwego państwa. To sprawiedliwe państwo a nie owe

wymuszone ograniczenie jest dla nas najważniejszą wartością i naszym celem. Kiedy już zostanie zbudowane, jego zasada – zasada sprawiedliwości będzie obowiązywała bezwzględnie. Dlatego ci, z którymi zawieramy kompromis, nie mogą liczyć na amnezję i bezkarność, ale nie muszą się też obawiać niczyjej zemsty. Sprawiedliwe państwo gwarantuje każdemu bez wyjątku sprawiedliwe osądzenie jego czynów: sprawiedliwy wymiar kary, sprawiedliwe uniewinnienie, a także – jeśli będą po temu słuszne racje – sprawiedliwe przyznane zaszczyty.

Wkrótce okazało się, że to wcale nie jasna świadomość strategicznego celu – budowy sprawiedliwego państwa, zdominowała sposób myślenia solidarnościowej opozycji. Pierwszeństwo zdobyła logika demokratycznej rywalizacji o władzę i związane z tym taktyczne kalkulacje polityczne. Od czasu kontraktowych wyborów w czerwcu 1989 r., aż po jesień 1993 r. panowało niemal powszechne przekonanie, że przewyciężenie komunistycznego dziedzictwa dokona się o wiele szybciej i skuteczniej za pomocą kartki wyborczej[11] niż za pomocą wymiaru sprawiedliwości. Znaczyło to jednak, że kształtujące się państwo ma być przede wszystkim demokracją, a dopiero na drugim miejscu państwem prawa.

Dodatkowym czynnikiem, który wywarł istotny wpływ na duchowy klimat państwa było zaangażowanie się części solidarnościowych elit w moralne legitymizowanie byłych komunistów. Niektórzy, jak się zdaje, czynili to powodowani jednostronnie rozumianym chrześcijańskim miłosierdziem; inni – w przekonaniu, że demokratycznie zdobyty mandat ostatecznie legitymizuje, gładząc wszystkie winy. Te mniej lub bardziej subtelne wywody, z których tak czy owak miało wynikać, jakoby jedynym moralnie słusznym fundamentem kształtującego się

porządku musiało być zapomnienie o przeszłości, stopniowo dewastowały etyczną świadomość Polaków. Początkowo jednak przekonanie, że kompromis zawarty w 1989 roku nie może być podstawą zdrowego państwa, uznawane było za oczywistość nawet wśród tych, którzy później wsparli konstytucyjną koalicję. Na inauguracyjnym posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej „kontraktowego” jeszcze Sejmu, 6 lutego 1990 roku, jej przewodniczący Bronisław Geremek, przypominając, że posiedzenie to odbywa się w rocznicę rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu, stwierdził: „Z tej rocznicy pozostaje nam filozofia zmian, które spowodowały zasadnicze, ale ewolucyjne przemiany prowadzące do wolności i demokracji. Obrady Okrągłego Stołu toczyły się w duchu kompromisu. Kompromis ten musi jednak zatrzymać się na pewnych rubieżach, które wyznaczają podstawowe wartości narodu. Problematyki konstytucji kompromisowi poddawać nie można. Kompromisy w ustawie zasadniczej nie wchodzi w grę.”[12] 2.

## **2. Przełom roku 1993**

Wyniki wyborów parlamentarnych we wrześniu 1993 roku wywołały szok wśród solidarnościowych elit politycznych, a także wśród tych wszystkich Polaków, dla których zwycięska SLD jednoznacznie kojarzyła się z środowiskiem dawnych rządców PRL-u. Trudno było zaprzeczyć, że ci, którym miłosiernie pozwolono egzystować na marginesie życia politycznego w oczekiwaniu aż naturalna wymiana pokoleń rozwiąże problemy przeszłości, nie tylko wygrali wybory i objęli rządy, ale – co więcej – uzyskali do sprawowania władzy niepodważalną demokratyczną legitymację. Moralnemu szokowi towarzyszyła intelektualna bezsilność tych, którzy wcześniej sami

zgodzili się na prymat demokracji wobec państwa prawa i tym samym nie mogli odwołać się do legitymacji innej i ważniejszej niż demokratyczny mandat.

Fakt, że na byłych komunistów zagłosowało raptem 20 % wyborców nie miałyby sam w sobie aż tak wielkiego znaczenia, gdyby nie to, że wydarzyło się to w szczególnej sytuacji, przygotowanej przez poprzednio rządzące koalicje ugrupowań solidarnościowych. Ordynacja wyborcza – wprowadzona w intencji wzmocnienia rządu i promujące silne partie – zapewniła SLD ponad 37% mandatów, a wraz z sojusznikiem PSL-em 2/3 miejsc w Sejmie, co wraz z ustaleniami zawartymi we wcześniej przyjętej „Ustawie Konstytucyjnej o trybie przygotowywania i uchwalenia Konstytucji” stwarzało postkomunistom komfortowe warunki do tego, by to oni właśnie uchwalili ustawę zasadniczą. Jednak decyzja skorzystania przez nich z tej możliwości, wcale nie była oczywista – oznaczała bowiem kres ich dotychczasowej powściągliwości w polityce. Ci, którzy wiedzieli, iż „mniej im wolno”, musieli tym bardziej wiedzieć, że podjęcie działań, które miały im zapewnić chwałę „ojców założycieli” III Rzeczypospolitej, przez znaczną część społeczeństwa odebrane zostanie jako prowokacja.

Przywódca postkomunistów Aleksander Kwaśniewski podjął to ryzyko, ponieważ doskonale rozumiał, że otwiera się przed nim niepowtarzalna szansa ostatecznego utrwalenia i zalegalizowania porządku zaprojektowanego przy Okrągłym Stole, to znaczy, przede wszystkim, ostatecznego zamknięcia kwestii komunistycznej przeszłości i związanych z tym rozliczeń. Niezależnie od merytorycznej oceny przeforsowanego projektu państwa, sam sposób wprowadzenia go w życie – zwłaszcza na tle wcześniejszej konstytucyjnej indolencji środowisk solidarnościowych – zasługuje na wyrazy najwyższego

uznania. Gdyby za probierz klasy polityka przyjąć wyłącznie skuteczność, to Aleksander Kwaśniewski z pewnością zasługiwałby na miano męża stanu. To on okazał się faktycznie ojcem Konstytucji z 1997 roku, a tym samym „ojcem założycielem” i symbolem państwa, w którym dziś żyjemy.

### **3. Duch konstytucyjnej debaty**

Prace nad konstytucją, które przyspieszyły gwałtownie zaraz po wyborach we wrześniu 1993 roku[13], rozpoczęły nasilającą się debatę. Debata ta, której szczyt przypadł na lata 1996 i 1997, toczyła się na różnych poziomach i różne cele przyświecały jej aktorom. Spróbujmy je pokrótce określić, tym bardziej, że owe cele były częściowo ukryte a cała debata głęboko i wielostronnie zafałszowana.

Dla głównego rozgrywającego, Aleksandra Kwaśniewskiego i jego środowiska, konkretna treść przygotowywanej konstytucji jawiła się w gruncie rzeczy jako mało istotna i drugorzędna. Przy generalnej zgodzie na ogólną formułę „demokratycznego państwa prawa”[14], szczegółowe wypełnienie tych ram można było spokojnie powierzyć ekspertom, dbając co najwyżej o to, by któremuś z nich nie przyszło do głowy zbyt wyakcentowanie roli instytucji państwa prawa[15].

Cel postkomunistów był prosty. Cała gra toczyła się o to, aby to ten właśnie Parlament, a po 1995 roku również ten właśnie Prezydent, chodzili w glorii założycieli III Rzeczypospolitej. I nie o samą glorię tu szło, lecz o oczywisty fakt, że w ten sposób niebezpieczeństwo pociągnięcia do odpowiedzialności byłych komunistów za niechlubną

przeszłość zostanie, być może, ostatecznie oddalone. Jeśli zwykła legitymacja wyborcza dawała już w tej kwestii niezłą ochronę, to pomysł by „ojców założycieli” poddać infamii graniczyłby przecież z absurdem. Owego celu postkomuniści nie mogli, rzecz jasna, formułować wprost, choć także specjalnie go nie ukrywali. Nie trzeba przecież wielkiej przenikliwości, by go odnaleźć w sloganie wyborczym: „Wybierzmy przyszłość”.

Aleksander Kwaśniewski miał jednak ambicje jeszcze większe, gdy na pierwszym posiedzeniu Komisji Konstytucyjnej formułował sens całego przedsięwzięcia: „Doświadczenia konstytucjonalizmu europejskiego wyraźnie pokazują, że właśnie poprzez kompromis pomiędzy różnymi interesami społecznymi i oczekiwaniami obywatelskim budowano skuteczne ustawy zasadnicze w krajach rozwiniętej, czy tworzącej się demokracji. Byłoby więc dobrze, abyśmy poszli tą drogą i abyśmy potrafili stworzyć właśnie konstytucję obywatelskiego kompromisu – powtarzam: konstytucję obywatelskiego kompromisu.”[16] Oprócz skutecznego uchwalenia ustawy zasadniczej usiłował, jak się wydaje, stworzyć podwaliny czegoś, co należałoby nazwać jakąś formą religii obywatelskiej – swoistą religię kompromisu, która miała ostatecznie pojednać wszystkich obywateli, dostarczając etycznego usprawiedliwienia i podstawy dla przyszłej wykładni ustanawianej właśnie konstytucji.

Deklarowany duch kompromisu wywarł oczywiście również ogromny wpływ na techniczną stronę przygotowywania tekstu konstytucji. Od początku pracy Komisji było jasne, że konstytucja nie będzie tworzona drogą merytorycznych dyskusji bezkompromisowo poszukujących najlepszych rozwiązań, lecz ma powstać w wyniku gry interesów: targów, nacisków i ustępstw. W grze tej najsilniejszy gracz deklarował

daleko idącą gotowość kompromisu, tzn. był gotów zgodzić się na wiele, byle tylko osiągnąć swój cel – uchwalić konstytucję w tej właśnie kadencji. Poszczególne zapisy ustawy zasadniczej miały swoją wagę, a raczej, mówiąc precyzyjniej, swoją cenę, za którą SLD usiłował kupić poparcie kolejnych środowisk. Korzystały z tego partie tworzące konstytucyjną koalicję, walczące do końca o umieszczenia w projekcie artykułów, które bezpośrednio odwoływały się do ich elektoratów. W ten sposób publicznie gloryfikowana filozofia kompromisu okazała się bezpośrednią przyczyną tego, że konstytucja, a zwłaszcza jej rozdziały pierwszy i drugi, przybrały – najdelikatniej rzecz ujmując – eklektyczny kształt.

Najwyższą ceną, jaką postkomuniści zmuszeni byli ostatecznie zapłacić, było uwzględnienie kwestii, które miały zachęcić do głosowania za przyjęciem konstytucji liczny elektorat kierujący się wskazaniem Kościoła katolickiego, bowiem w przypadku jednoznacznie negatywnego stanowiska Kościoła referendum konstytucyjne miałyby minimalne szanse na sukces. Dzięki temu w konstytucji znalazły się zapisy akcentujące godność człowieka, chroniące rodzinę i małżeństwo jako związek kobiety i mężczyzny, wprowadzające kategorie dobra wspólnego oraz regulujące stosunki między państwem a wspólnotami religijnymi zgodnie z Nauką Społeczną Kościoła. Na koniec zgodzono się przyjąć preambułę w wersji przedstawionej przez Tadeusza Mazowieckiego, która uwzględniając jakąś formę invocatio Dei i odwołując się również do tradycji narodowej, spacyfikowała po części zastrzeżenia wobec konstytucji zgłaszane przez Kościół katolicki.

Aby zrozumieć zróżnicowany stosunek środowisk solidarnościowych do konstytucji promowanej przez SLD, warto sobie uświadomić, że począwszy od jesieni 1993 r. mieliśmy do czynienia z sytuacją analogiczną do tej, jaka doprowadziła do kompromisu Okrągłego Stołu. Strona dysponująca władzą i przemożną siłą – tym razem była to siła przytłaczającej większości mandatów w parlamencie – a jednocześnie świadoma braku pełnej społecznej legitymacji, składała środowiskom solidarnościowym ofertę „nie do odrzucenia”: albo zaakceptujecie zasadę proponowanego przez nas kompromisu i wtedy, uzyskując wpływ na ustrojowy kształt państwa, będziecie mogli cieszyć się wraz z nami sławą jego „założycieli”, albo zostanieie zignorowani, a my i tak zrobimy swoje. To „albo – albo” w dramatyczny sposób określało horyzont możliwych posunięć, jaki wówczas stanął otworem przed opozycją solidarnościową. Decyzja o przyjęciu pierwszej lub drugiej opcji radykalnie ją podzieliła, choć, jak można sądzić, w kwestii stosunku do byłych komunistów ujawniła się tylko wyraźnie istniejąca już wcześniej fundamentalna różnica.

Jak wiadomo, część ugrupowań solidarnościowych związanych głównie z Unią Wolności, przyjęła złożoną propozycję, stając się odtąd dla postkomunistów nie tylko cennym listkiem figowym, ale również pożytecznym towarzyszem podróży w drodze do Polski, w której liczyć się miała tylko przyszłość. Dzięki temu, że w debacie publicznej rolę obrońców konstytucji wzięli na siebie głównie publicyści związani z Unią Wolności, postkomuniści mogli skromnie skryć się w cieniu, i po prostu robić swoje.

Motywację, jaka kryła się za decyzją przystąpienia do konstytucyjnej koalicji, dobrze oddają słowa Tadeusza Mazowieckiego, wypowiedziane 10 lat po przyjęciu konstytucji: „Stał przed nami pewien niełatwy problem. Konstytucję uchwalił ówczesny parlament, (w którym najwięcej głosów posiadał SLD). Dlatego trzeba się było bardzo mocno przełamywać, ponieważ nie było nic dziwnego w tym, że ugrupowania wywodzące się z „Solidarności”, a więc z ruchu, który doprowadził do przełomu, chciały być twórcami konstytucji. Ale przewlekanie tego stanu bezkonstytucyjności byłoby szkodliwe. I to przełamywanie się, które było konieczne, było wyrazem nadrzędności dobra wspólnego nad interesami już nie tylko partii, ale własnej formacji.[17] To „przełamywanie się”, które tutaj prezentowane jest jako przewyciężanie – w imię dobra wspólnego – nie tylko partyjnego egoizmu, ale i interesu własnej formacji, może być jednak rozumiane inaczej niż chciałby autor powyższych słów. Dla kogoś, kto pamięta, że naczelnym interesem tej „własnej formacji”, tzn. ruchu Solidarności, nie był żaden partykularny interes, lecz właśnie bezkompromisowe pierwszeństwo zasady dobra wspólnego, w tym – poszanowanie wymogów sprawiedliwości, decyzja Unii Wolności oznaczała raczej zgodę na porzucenie idei dobra wspólnego i podjęcie gry motywowanej przemożną potrzebą obecności w polityce i posiadania na nią realnego wpływu. Zgodę, o której wątpliwym moralnie charakterze świadczą właśnie wewnętrzne opory sumienia i rozumu, które trzeba było „bardzo mocno przełamywać”.

Owemu przełamywaniu służył m.in. przytoczony argument o szkodliwości przeciągającego się stanu nie posiadania przez Polskę konstytucji – jeden z najbardziej upowszechnianych wówczas mitów[18] mających uzasadnić konieczność uchwalenia konstytucji w tym właśnie momencie. Nie trzeba dodawać, że z punktu widzenia SLD

argument ten był wyjątkowo atrakcyjny, ponieważ umiejętnie usuwał z pola dyskusji istotę sporu. Ogólnie formułowana potrzeba posiadania konstytucji jako takiej, skrywała prosty fakt, że argument ten, użyty tu i teraz, agitował za przyjęciem forsowanej przez postkomunistów konstytucji, nie mówiąc tego wprost.

Drugi nurt o solidarnościowych korzeniach skupiony wokół Akcji Wyborczej „Solidarność” jednoznacznie opowiedział się za odrzuceniem jakiegokolwiek kompromisu z SLD i konsekwentnie stosował politykę obstrukcji w złudnej nadziei na opóźnienie, a w rezultacie zablokowanie procesu stanowienia konstytucji. To stanowisko, doskonale widoczne w podejmowanych działaniach, nie zostało jednak otwarcie wyartykułowane. O ile postkomuniści nie chcieli nazwać istoty sporu po imieniu, bo w sposób oczywisty nie leżało to w ich interesie, to politycy AWS sprawiali wrażenie jakby tego nie potrafili, albo się tego bali – intelektualna bezradność wobec demokratycznej legitymacji, jaką posiadała SLD, okazała się porażająca. Tym samym debata konstytucyjna toczyła się, i to po obu stronach, w sposób pozorny i zafałszowany. Można było odnieść wrażenie, że stary system wszechobecnego kłamstwa nie zniknął doszczętnie, lecz dalej rzuca cień na nową rzeczywistość.

Głównym orężem polityków AWS miał być ich własny, obywatelski projekt konstytucji, który pod względem treści – dotyczy to zwłaszcza dwóch jego pierwszych rozdziałów zawierających zasady naczelne oraz katalog prawa podstawowych – zdecydowanie górował nad końcowym efektem prac Komisji Konstytucyjnej. Oceny tej nie zmienia fakt, że – w formie, w jakiej zaprezentowano go publicznie – był już poważnie popsuty pomysłem komisji trójstronnej oraz rozbudowanym pakietem przywilejów pracowniczych (obecnych zresztą również w projekcie

Komisji). Artykuły te, rozbijając logiczną spójność tego projektu, stanowiły ewidentnie sztuczny i wręcz niebezpieczny dla funkcjonowania państwa dodatek, który jednak, jak można się domyślać, miał na celu wskazywać wyrazistą odrębność zarówno samego projektu, jak i jego promotorów. Ta troska o wyraźne zaznaczenie swojej tożsamości była zresztą o tyle uzasadniona, że duch kompromisu, któremu AWS usiłowała się przeciwstawić, był gotów wchłonąć i przyswoić sobie – i to niezależnie od jego źródła – każdy, nawet najbardziej absurdalny pomysł konstytucyjny, byle tylko zyskać nowych zwolenników i przybliżyć się do końcowego sukcesu.[19]

Jednak to nie walka o przeforsowanie własnego projektu, lecz torpedowanie projektu przeciwnika stanowiło główny cel konstytucyjnej opozycji. Politycy AWS, podobnie jak postkomuniści, doskonale wiedzieli, że o losie konstytucji rozstrzygnie ostatecznie referendum, tu zaś decydujące okaże się oficjalne stanowisko Kościoła. Stąd wiele ich publicznych wystąpień zmierzało do przekonania hierarchii, że treść przygotowanego przez Komisję Konstytucyjną projektu stanowi zagrożenie dla ludzi wierzących i dla Polskiego Narodu. Bogoojczyźniana retoryka, która czasem przekraczała wszelką miarę, przyjmując formę moralnego i religijnego szantażu, okazała się przeciwnie skuteczna. Z jednej strony, wrażliwych na wszelkie formy politycznego wykorzystywania wiary biskupów skłaniała raczej do powściągliwości, z drugiej – ośmieszała tych, którzy się ową retoryką posługiwali i którzy przy okazji stawali się łatwym celem szyderczej krytyki mediów. Przede wszystkim jednak owa retoryka pomagała tym, przeciwko którym była skierowana w mistyfikowaniu sensu toczącej się rozgrywki. Najważniejszym przecież zagrożeniem – zarówno dla ludzi wierzących, jak i dla wszystkich ludzi dobrej woli – wcale nie była treść poszczególnych artykułów uchwalanej konstytucji, lecz kompromis, który legł u jej podstaw i duch, który ją od początku przenikał.

Zasadnicza oś konfliktu, którą wyznaczali, z jednej strony, postkomuniści jako polityczni promotorzy konstytucji, zaś z drugiej, jej radykalni przeciwnicy skupieni wokół AWS, nie stwarzała wielkich możliwości merytorycznej dyskusji nad jej treścią. Mimo to dyskusja taka miała miejsce. Brali w niej udział prawnicy, którzy w takich, a nie innych okolicznościach przyjęli od legalnie wybranego Zgromadzenia Narodowego zlecenie zredagowania konstytucji i, jak przystało na fachowców, starali się dobrze wykonać powierzone sobie zadanie. Wokół prac Komisji Konstytucyjnej toczyła się nieustanna debata, w czasie której eksperci konstytucyjni, stosownie do swojej wiedzy i rozumienia problemów, starali się przygotować jak najlepszy projekt nowocześnie rozumianego państwa, starannie szlifując kształt poszczególnych artykułów. Udało im się przy tym zrobić wiele dobrego, choć warunki brzegowe wyznaczone filozofią kompromisu nie ułatwiały im tego zadania. Gdyby nie ich wkład, treść obowiązującej dziś Konstytucji z pewnością zasługiwałaby na jeszcze większą krytykę.

Natomiast polemiki prowadzone w mediach tylko pozornie stanowiły przedłużenie merytorycznej debaty nad tekstem, która toczyła się w Komisji Konstytucyjnej. Miały one zupełnie inny cel i inny charakter, bo dotyczyły istoty konfliktu: tego, czy konstytucję jako całość należy w zbliżającym się referendum przyjąć czy odrzucić. W przekonywaniu opinii publicznej brali zresztą udział również eksperci zaangażowani w prace Komisji, którzy jednak w ten sposób wykraczali poza swoją właściwą rolę. Występując z pozycji profesorów prawa i rzucając na szalę swoją profesjonalną wiarygodność, zajmowali stanowisko w sporze, który nie podlegał ich kompetencji, bo nie chodziło w nim o ocenę sensowności takich lub innych regulacji konstytucyjnych, lecz o rozstrzygnięcie bardziej podstawowe, mające charakter moralny.

Przywoływanie ich opinii i wspieranie się ich autorytetem było z kolei typowym zachowaniem wielu publicystów, którzy również zaangażowali się we wspieranie konstytucji, odwołując się przy tym często do pozornych argumentów i mitów.

Agitacja ta przebiegała zazwyczaj wedle jednego schematu. Po rozważeniu kilku konkretnych artykułów promowanej konstytucji i oddaleniu kierowanych przeciwko nim zarzutów (często przytaczanych za autorami, którzy wyrażali je w historycznej formie bądź w bogoojczyźnianym języku)[20], następowała nieodmiennie konkluzja: „Konstytucja nie jest może dokumentem idealnym (nic niej jest przecież idealne) i na pewno ma swoje wady, ale w sprawach zasadniczych spełnia wszystkie standardy demokratycznego państwa prawa i współczesnej myśli konstytucyjnej.” Odbiorca tego przekazu miał sam wyciągnąć z niego oczywisty wniosek i w referendum głosować za jej przyjęciem.

Problem polega jednak na tym, że standardy nowoczesnego państwa są na tyle ogólne i jednocześnie elastyczne, że spełniały je niemal wszystkie inne projekty zgłaszane w Polsce po 1989 roku, w tym także projekt społeczny AWS, który również nie był idealny, ale z pewnością pozbawiony wielu wad projektu „kompromisowego”. Wykazywanie, że projekt Komisji Konstytucyjnej odpowiada standardom nowoczesnego państwa w żaden sposób nie wyróżniało go pozytywnie od innych projektów i nie niosło w sobie żadnego istotnego przesłania poza tym, że pełniło ważną funkcję perswazyjną, mającą skłonić niezdecydowanych do opowiedzenia się za nim.

Podkreślaniu zalet poszczególnych artykułów promowanej konstytucji towarzyszył również zarzut, że dla jej przeciwników ważniejsze niż kwestia: „jaka konstytucja?”, jest pytanie: „czyja konstytucja?”[21] Zarzut ten, który miał merytorycznie dyskwalifikować adwersarzy i demaskować ich niedobre, bo „polityczne” intencje, był poniekąd słuszny. Rzecz w tym, że to właśnie pytanie „czyja konstytucja?” – jeśli je się dobrze rozumiało – o wiele bardziej przybliżyło do istoty konstytucyjnego sporu niż drobiazgowo analizowanie jej treści.[22] Innymi słowy, to, co zasługiwało na pochwałę, bo stanowiło wyraz przenikliwości, przedstawiano jako powód do wstydu.

O ile hasło „konstytucja spełniająca standardy nowoczesnego państwa”, mogło być po części poparte rzeczowym uzasadnieniem, o tyle inne środki perswazji używane w debacie w celu pozyskania poparcia dla konstytucji w zbliżającym się referendum miały już zdecydowanie charakter technik retorycznych. Szeroko rozpowszechnianym mitem było przede wszystkim prezentowanie samej idei kompromisu jako najwyższej konstytucyjnej wartości i wręcz synonimu pokoju społecznego. Przy okazji przeciwnicy konstytucji, przedstawiani jako wrogowie kompromisu, mieli stać się w publicznym odbiorze uosobieniem pieniactwa.

Kompromis wszakże z samej swej istoty nigdy nie może być nadrzędną wartością, celem samym w sobie, lecz zawsze jest środkiem prowadzącym do jakiegoś innego celu. Dążąc do osiągnięcia rzeczy dla nas ważniejszych, godzimy się ustąpić w sprawach z naszej perspektywy drugorzędnych. Tak też było w przypadku stanowienia ustawy zasadniczej III RP. Za hasłem konstytucyjnego kompromisu, na które dało się nabrać tak wielu ludzi dobrej woli, kryła się

konsekwentna i bezkompromisowa realizacja najważniejszego celu dominującego obozu politycznego – zabezpieczenia interesów dawnych funkcjonariuszy PRL-u. Natomiast ustępstwa, na które godzili się twórcy konstytucji, aby pozyskać wymaganą większość, dotyczyły kwestii z ich punktu widzenia drugoplanowych.

Inny – wspomniany już wcześniej – mit o wielkiej sile perswazji stanowiła swoista fetyszycacja konstytucji – pogląd, jakoby jej posiadanie miało samo w sobie szczególną wartość, a państwo bez konstytucji było państwem ułomnym. To, że przez poprzednie lata nie udało jej w Polsce uchwalić przedstawiano jako kompromitację i powód do narodowego wstydu. Stąd płynął wniosek: nie należy się zbytnio wgłębiać w tekst konstytucji, ani tym bardziej w okoliczności jej powstawania, lecz, spełniając obywatelski obowiązek, trzeba zagłosować za jej przyjęciem[23].

Siła rażenia tych i innych mitów okazała się tak wielka, że nie potrafili się jej oprzeć nie tylko zwykli obywatele, ale również ludzie o ogromnej skądinąd przenikliwości. Przytoczmy na koniec fragmenty jednego z najbardziej dramatycznych tekstów owego okresu, gdzie Jan Nowak-Jeziorański[24] precyzyjnie opisuje dylemat, przed którym stanął on sam i jak można przypuszczać, wielu śledzących konstytucyjną debatę Polaków: „Uchwalenie przez Zgromadzenie Narodowe olbrzymią większością projektu nowej konstytucji stało się zwycięstwem kompromisu nad «duchem liberum veto». Z mego punktu widzenia ten kompromis mógł być o wiele lepszy, gdyby nie musiał być zawierany z formacją postkomunistyczną i gdyby w parlamencie była obecna demokratyczna prawica.” Następnie pada deklaracja o jego decyzji głosowania „tak”, uzasadniana tym, że według jego rozeznania tekst konstytucji spełnia standardy nowoczesnego państwa: właściwie

reguluje relacje poszczególnych władz oraz zawiera wystarczające gwarancje obrony praw człowieka, praw i wolności obywatelskich. Nowak-Jeziorański odrzuca także pogląd, że z przyjęciem konstytucji możemy jeszcze poczekać: „sam fakt, że wszystkie kraje, które odzyskały swoją suwerenność, nie wyłączając Federacji Rosyjskiej, uchwały już swoją ustawę zasadniczą, a Polska stanowi jedyny wyjątek – zmienia się w skandal świadczący źle o naszym kraju”. Te wszystkie uzasadnienia, a raczej powtarzane przez autora obiegowe stereotypy, nie są jednak decydujące. Najważniejszy argument brzmi: „każdy kompromis narzuca konieczność wyrzeczenia się czegoś, na czym nam zależy. Istnieją jednak nieprzekraczalne granice kompromisu. Jest nią wierność wyznawanym zasadom. W nowej konstytucji jest wiele rzeczy, które chciałbym zmienić. Brak w niej wielu postanowień, które chciałbym w niej widzieć. Nie znajduję jednak w obecnym projekcie konstytucji niczego, co byłoby dla mnie nie do przyjęcia.(...) Przez całe życie starałem się być wierzącym i praktykującym katolikiem. Głosowałbym przeciwko konstytucji, gdyby na przykład legalizowała aborcję albo małżeństwa osób tej samej płci. Osiągnięty kompromis polega na pozostawieniu różnych spraw sumieniu obywatela, ale nie znajduję w nim nic takiego, co stwarzałoby dla mnie konflikt sumienia.” Jan Nowak-Jeziorański ma o tyle rację, że gdyby w konstytucji znajdowało się coś, co byłoby w oczywisty sposób nie do przyjęcia, wszystkie inne argumenty przemawiające „za”, okazałyby się bez znaczenia. Niestety, wypatrując daremnie tego, co byłoby niezgodne z jego sumieniem w samym tekście, nie dostrzegł ducha kłamstwa i niesprawiedliwości, który konstytucję przenika i się za nią skrywa.

\*

Wraz z wejściem w życie Konstytucji III RP cel, do którego wytrwale zmierzali postkomuniści, został zrealizowany. Celem tym – powtórzmy – było „ostateczne potwierdzenie narodowego pojednania oraz zamknięcie rozliczeń sięgających okresu PRL-u. Przyjęcie Konstytucji miało stanowić punkt zero, nowy start dla wszystkich obywateli niezależnie od ich zasług w obalaniu, czy też w umacnianiu przodującego ustroju. Mieli oni odtąd z czystą hipoteką skierować się ku przyszłości i nie grzebać się więcej w mrocznych zakamarkach minionej epoki”[25]. Jednak przeforsowana i zakonserwowana zapisem konstytucyjnym filozofia obywatelskiego kompromisu niesie w sobie o wiele głębsze konsekwencje niż tylko zapomnienie o coraz bardziej oddalającej się przeszłości. Spoglądając z dzisiejszej perspektywy trudno nie odnieść wrażenia, że niepisana zasada, wedle której – wyrażając jej sens w najbardziej ogólnej formie – wymogi sprawiedliwości i państwa prawa mogą być zawieszane i lekceważone ze względów politycznych, stała się trwałym elementem porządku III Rzeczypospolitej, coraz mocniej określając działanie całej ponadpartyjnej kasty demokratycznych polityków. Postępujący rozkład moralnych standardów życia politycznego nie powinien przy tym dziwić. Jeśli bowiem uznaje się, że dla etycznych fundamentów państwa bez znaczenia jest to, czy ktoś budował swoją karierę będąc funkcjonariuszem zbrodniczego ustroju a przy tym także – chcąc nie chcąc – wiernym współpracownikiem i reprezentantem interesów obcego mocarstwa, to jaką można znaleźć rację, aby za kompromitujące a tym samym eliminujące z życia publicznego miały uchodzić rozmaite afery i skandale, o niewspółmiernie niższej przecież randze?

*Prof. Zbigniew Stawrowski*

*Skrócona wersja tekstu ukazała się w: „Przegląd Sejmowy” 4 (81) 2007, s. 49-64*

---

[1] Joseph H.H. Weiler, Chrześcijańska Europa. Konstytucyjny imperializm czy wielokulturowość? Przełożył Wojciech Michera. Wydawnictwo „W drodze”, Poznań 2003, s. 30

[2] Cytowany wyżej Weiler uważa wręcz, że preambuła Konstytucji RP z 1997 r. ze względu na swe zalety mogłaby stać się wzorcem dla preambuły konstytucji Europejskiej (por. Tamże, s. 42 nn.)

[3] Piotr Winczorek, Pięć lat konstytucji, Res Publica Nowa, Marzec 2002, s. 82

[4] Tak zdaje się sądzić również P. Winczorek (por. A jednak kompromis, Rzeczpospolita, 16.10.2002).

[5] Składającą się z 56 osób, 46 posłów i 10 senatorów, czyli dokładnie 1/10 członków obu izb Parlamentu reprezentujących w stosownej proporcji obecne w nim partie polityczne.

[6] W tym samym dniu posłowie przyjęli również ostatecznie nową ordynację wyborczą do Sejmu, która w intencji wzmocnienia rządu zdecydowanie promowała najsilniejsze ugrupowania, wprowadzając dwa progi 5% dla partii i 8% dla koalicji oraz premię w postaci listy

krajowej (69 mandatów) dla tych, którzy przekroczą próg 7 %. Prezydent Wałęsa, licząc na sukces wspieranego przez siebie BBWR-u, ordynacji nie zawetował.

[7] Uprawnionych do głosowania – 28 324 965, głosowało – 12 139 790, (11 969 755 głosów ważnych + 170 035 głosów nieważnych), „za” głosowało 6 398 316 (52,71%), „przeciw” – 5 571 439 (45,89 %)

[8] Por. Michał Kulesza, Konstytucja Okrągłego Stołu, Życie, 5.02.1997

[9] Por. Ludwik Dorn, Spór nie do zakończenia, Życie, 15.04.1997

[10] Istotę komunizmu najtrafniej uchwycił George Orwell: „Partia pragnie władzy wyłącznie dla samej władzy. Nie obchodzi nas dobro ludzkości; obchodzi nas wyłącznie władza. Nie bogactwa, luksusy, długie życie lub szczęście, a tylko władza, czysta władza. (...) Władza to nie środek do celu: władza to cel.” (George Orwell, Rok 1984, przełożył Tomasz Markowicz, Wydawnictwo DaCapo, Warszawa 1993, s. 266)

[11] W pierwszych w pełni demokratycznych wyborach do Sejmu w październiku 1991 r. postkomunistyczny Sojusz Lewicy Demokratycznej uzyskał zaledwie 12 % mandatów

[12] Biuletyn KK Sejmu, 1990; t. I, s. 5 łam 2

[13] Wybory odbyły się 19 września, 21 października, na pierwszym posiedzeniu Sejmu wybrano posłów do Komisji Konstytucyjnej, zaś następnego dnia – przedstawicieli Senatu. Na pierwszym posiedzeniu

Komisji 9 listopada wybrano Aleksandra Kwaśniewskiego na jej przewodniczącego.

[14] Mimo, że z punktu widzenia strategicznego celu treść konstytucji nie była najważniejsza, to jednak pewne rozstrzygnięcia, wynikające z konkretnych preferencji politycznych SLD, zostały jasno określone jako ramy dla pracy ekspertów. Dotyczyło to przede wszystkim regulacji ustroju politycznego, w którym od początku starano się ustanowić – ewidentnie przeciwko Prezydentowi Wałęsie – nadrzędną rolę Sejmu. Niebezpieczeństwo dominującej sejmokracji stonowały dopiero poprawki wniesione w ostatnim momencie przez Prezydenta Kwaśniewskiego, rozszerzające jego własne kompetencje, choć wcześniej, jeszcze jako Przewodniczący Komisji, był im przeciwny.[15] Z punktu widzenia interesu środowisk postkomunistycznych największym niedopatrzaniem wydaje się art. 44 Konstytucji: „Bieg przedawnienia w stosunku do przestępstw, nie ściganych z powodów politycznych, popełnionych przez funkcjonariuszy publicznych lub na ich zlecenie, ulega zawieszeniu do czasu ustania tych przyczyn”.

[16] Biuletyn KKZN, 1993, t. I/II s.10 łam 1

[17] Tadeusz Mazowiecki, Trzeba bronić konstytucji, Gazeta Wyborcza 3.04.2007

[18] O tym i o innych pozornych argumentach, które jako instrumenty perswazji funkcjonowały w mediach podczas debaty konstytucyjnej por. Z. Stawrowski, Konstytucja. Pozory i rzeczywistość, Życie, 20.05.1997

[19] Niewiele brakowało, aby w przyjętej konstytucji znalazł się również ów przepisany z projektu społecznego nieszczęsny artykuł o komisji trójstronnej, którego obecność mogła poważnie zaburzyć funkcjonowanie państwa.

[20] Przykładami takiej strategii retorycznej można odnaleźć m.in. w tekstach Ewy Siedleckiej, Argumenty przeciw armatom, Gazeta Wyborcza, 23.04.1997 oraz Romana Graczyka. Konstytucja: mity i fakty, Tygodnik Powszechny, (20/1997) 18.05.1997

[21] Por. Wiktor Osiatyński, Czyja konstytucja, Gazeta Wyborcza, 14.02.1997 oraz Roman Graczyk, Konstytucja: mity i fakty, Tygodnik Powszechny 18.05.1997

[22] Por. Zbigniew Stawrowski, Jeszcze nie czas na konstytucje, Życie, 11.03.1997

[23] Wśród nielicznych głosów, które zdecydowanie przeciwstawiły się temu mitowi warto przypomnieć list otwarty podpisany przez 13 pracowników naukowych Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego (por. Nie chcemy mniejszego zła, Życie, 21.05.1997 r.)

[24] Jan Nowak-Jeziorański, Konstytucja: za czy przeciw, Tygodnik Powszechny 20.04.1997

[25] Z. Stawrowski, Kasta polityków i zwykli obywatele, Rzeczpospolita, 15.10.2002